ROLA

Rok VI.
Kraków, dnia 26 maja 1912 r.
Nr. 21.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346.

Wpływ religii na społeczeństwo.

Nauka katolicka postarała się o dobrobyt człowieka i jego względne szczęście przez to, że utwierdziła porządek społeczny odpowiednio do ludzkiej natury, że uporządkowała ludzkie namiętności, a pędowi ku szczęściu jako ostateczny cel wskazała niebo. Według orzeczenia św. Augustyna ta tylko społeczność może być szczęśliwą, której królową jest prawda, prawem miłość, celem wierność.

Porządek społeczny polega na dokładnem poznaniu przeznaczenia i wartości rzeczy doczesnych. Skoro człowiek pozna cel ostateczny rzeczy i dowie się, na czem polega najwyższe dobro i skrajne zło, znajdzie też drogę życia i odkryje cel wszystkich swoich obowiązków. Kędy religia dociera swym wpływem, tam też znajdujemy głęboko zakorzeniony fundament tego poznania.

Duszą porządku społecznego jest mądre rozkazywanie i ochotne posłuszeństwo w familii, w państwie i Kościele; jest dalej własność prywatna.

Otóż religia uregulowała to wszystko ze skutkiem zbawiennym: władza ma nietylko prawa, ale i obowiązki, tak samo jak i każdy poddany; kobieta zdobyła przynależną sobie cześć, pieczołowite staranie się o wychowanie dzieci, zajmuje w społeczeństwie jedno z miejsc najważniejszych; małżeństwo zostało ugruntowane i uświęcone, człowiek nie jest panem absolutnym swego majątku, ale winien z niego zdawać rachunek przed Bogiem.

Kto różnice stanów uważa za niesprawiedliwe, ten zawsze ma tylko tych na myśli, którzy są nad nim. Najzagorzalszy demokrata jest zawsze arystokratą wobec niższych od siebie. A przecież w myśl nauki religii katolickiej tak być nie powinno, gdyż uczy ona nas, iż wobec Boga wszyscy jesteśmy równi.

Sama tylko religia chrześcijańska zdołała pokazać światu, jak wygląda prawdziwy patryotyzm. Historya wykazuje, że najpiękniejszy patryotyzm zawsze towarzyszył życiu narodów prawdziwie katolickich. Miłość ojczyzny wtedy tylko może być cnotą, jeżeli jest podporządkowana miłości ojczyzny niebieskiej.

Religia zdołała utwierdzić fundament ładu społecznego przez to, że miasto bogactwa i chciwości ukazała jako ideał ubóstwo i pogardę świata, że na miejsce samolubstwa stawiła miłość Bożą, na miejsce pogardy dla prostaczków i ubogich stawiła ofiarną miłość bliźniego i wreszcie przez to, że obowiązała wszystkich do pracy. Okazała się jako moc, która siłą swych zasad zdoła potęgę państwową zachować od despotyzmu, a dla jednostki utrzymać przysługującą jej samodzielność.

Albowiem ona uczy, że człowiek jest stworzony nie dla świata wyłącznie, ale dla wieczności, że w ludzkości bije pulsem prawo natury, z którego wszystkie ludzkie prawa winny czerpać moc obowiązującą, że niezależnie od państwa istnieje Kościół widzialny, który założył nasz Zbawiciel i który jest Jego zastępcą.

Przytem akcentuje religia łączność wszystkich w Chrystusie bez względu na narodowość, na stosunki stanowe, na płeć. Łączność taką, bez względu na narodowość, zaleca także socyalizm dzisiejszy, ale gdy socyalizm wzywa do łączności w imię nienawiści, religia katolicka czyni to w imię miłości.

Na mocy porządku zbawczego, raz na zawsze przez Boga ustanowionego, Kościół wśród swoich dzieci nie zna różnicy prócz tej, którą wytwarza cnota. Dlatego też historya Świętych, ów zielnik, kędy pamiątką spoczywają żywioły najlepsze, zapisała złotem tak wiele imion ubogich i maluczkich, podczas gdy rzesze potentatów i sławnych rodów przeszły, jak gdyby ich nigdy nie było na świecie. To samo prawo chrześcijańskiej jedności uważa jednakże tych, którzyby chcieli zetrzeć zewnętrzne różnice stanów i stosunków towarzyskich lub takowe gwałtem usunąć, za wrogów Bożego porządku. Religia katolicka jest więc podstawą porządku społecznego, dlatego strzedz nam jej wszelkimi siłami należy.

Ant. St. Bassara.

PRZEZ POGROM.

Opowieść z Wielkiej Wojny w 1812 r.

ROZDZIAŁ I.

Dziwne wieści.

W chacie Wojciecha Konopki zebrała się garść sąsiadów, aby po całodziennej pracy pogwarzyć o tem, co uparta wieść przynosiła z dalekiego świata.

I nic dziwnego, bo też z dniem każdym przychodziły do wioski jakieś dziwne nowiny, to o wielkim cesarzu Francuzów, Napoleonie, to o niezliczonych bitwach, jakie niezwyciężony wojownik stoczył. Kto te wszystkie wieści do cichej wioski przynosił, nie wiadomo, dość, że krążyło ich coraz więcej, a co jedna to była ciekawsza i więcej zajmująca.

Powiadano sobie, że przed kilkunastu laty, we francuskim kraju, gdzieś na dalekim zachodzie, rozpoczęła się ogromna ruchawka, wśród której zginął król francuski, zginęli co najprzedniejsi z narodu, a rządy kraju ujęli w swe ręce mordercy niewinnych. I byłby już koniec zupełny przyszedł na kraj francuski, gdyby nie jeden z jenerałów, Napoleon Bonaparte, który ze zwykłego kaprala do tej wysokiej godności doszedł. Napoleon ów, ogłosiwszy się sam dyktatorem, ujął w silne ręce rządy kraju i wnet zaprowadził w nim porządek a ład.

Nie dość na tem. Gdy mu sąsiedzi w jego zamiarach przeszkadzać chcieli, zebrał wojsko, sprał ich tak, że na długi czas przycichnąć musieli.

Takie to dziwne wieści przychodziły od dłuższego czasu do Wolicy, wioski położonej nad brzegami Wisły, w której stała chata Wojciecha Konopki.

Wieści te przychodziły od lat kilku, lecz powtarzane z ust do ust, nikły zapomniane, aby ustąpić miejsca innym a coraz nowszym.

Dopiero, gdy zaczęto mówić, że Wielki Napoleon wali z całą armią w ziemie polskie, aby wygnać z nich Moskali, którzy ojczyznę naszą jak krucy obsiedli, wtedy i w Wolicy zaczęło się robić gwarniej a języki od rana do nocy były w robocie.

Jakoż z początkiem czerwca 1812 żyd pachciarz przywiózł z Warszawy do Wolicy pierwszą wiadomość pewną, że Napoleon jeszcze w maju opuścił Paryż a, po kilku dniach pobytu w Dreznie przez Poznań, Toruń, Gdańsk i Królewiec, udał się do Wyłkowyszek, gdzie założył główną kwaterę swoją i wydał proklamacyę do wojsk, będącą wypowiedzeniem wojny Rosyi.

— Napolijon ma więcej wojska — powiadał żyd — jak wszystkich ludzi na świecie. Idą z nim Frajcuzy, Prusaki, Austryaki, Szwajcary, Włosi — i wiele inszych a z naszych to co dzień po kilka kóp przybywa.

Wiadomości pachciarza nie były zbyt przesadzone, bo Napoleon zebrał ogromną armię, liczącą około sześćset tysięcy ludzi, której zaledwie trzecią część stanowili Francuzi a reszta byli to Prusacy, Austryacy, Niemcy, Holendrzy, Szwajcarzy, Włosi, Hiszpanie i Portugalczycy. Polacy uzbroili się w liczbie około 60 tysięcy.

Według nadchodzących coraz częściej i coraz pewniejszych wiadomości Napoleon szedł na Moskala, aby siłą swego geniuszu zgruchotać potęgę naszych wrogów i przywrócić niepodległość ojczyznie naszej.

Wobec takich wiadomości umysły szlachty polskiej gorzały, przepełniała je nadzieja pohulania z wrogiem, ale też i brać wioskowa czekała z niecierpliwością wyswobodzenia z pod przemocy moskiewskiej, która się jej tu i ówdzie dawała we znaki.

Nic też dziwnego, że na skutek tych wieści cała Wolica zawrzała. Od rana do nocy nie mówiono o niczem, tylko o zjawieniu się Napoleona, a gdy wieczór nadszedł, gromadzono się w chacie lub przy chacie najpoważniejszego gospodarza z całej wsi, Wojciecha Konopki. Rozmowy o wielkich zwycięztwach Napoleona w Egipcie, we Włoszech, w Hiszpanii, pod Austerlitz i Jeną przeciągały się nieraz późno w noc. Przerywano je po to, aby znów rozpocząć na drugi dzień ponownie.

Pewnego ciepłego wieczora czerwcowego zgromadziła się, jak zwykle, spora gromada mieszkańców Wolicy około chaty Konopki. Co poważniejsi gazdowie posiadali rzędem na przyzbie domu, obok nich usadowiły się sędziwe matrony a na gołej ziemi rozrzuciła się gromada młodzieży, aby wychwytywać słowa płynące z ust starszych.

— Powiadają — rozpoczęła pogawędkę Sitkowa — że Napoleon, to ma taką moc, że jak chce, to w oczach zniknie, aby się znowu na innem miejscu pokazać.

— Nie bajcie — odrzekł na to Konopka — człek ci on, jak każdy z nas, ino ma taki wielgaśny rozum w głowie, którym wszyćko naprzód potrafi wykalkulować, jak ma być i przez to wszystko dobrze jest.

— A jakże on z Polską wykalkulował? — zapytał Jasiek Zapała.

— Jak? Ano powiadają, że miał wyrzec, iż Polska będzie, to pewnikiem tak się stanie, jak on powiedział.

— A czy wtedy lepiej będzie? — przerwała mu Sitkowa.

— To się wie, że lepiej! Wtedy nie będziemy potrzebowali słuchać obcych, ale będziemy mieli swego króla w Warszawie, który, jako swój, prędzej nas wysłucha i zrozumie, aniżeli obcy i prędzej sprawiedliwość uczyni.

Gdy w ten sposób przemawiał stary Wojciech Konopka, do córki jego, Marysi, przysiadł się Walek Drewniak. Był to chłop silny i rosły o wyrazistych i przystojnych rysach twarzy. Do pracy nie znalazłbyś mu drugiego równego we wsi, ale gdy przyszło się nad czemś zastanowić głębiej, o czemś własny sąd wydać, to Walek był bezradny, kieby dziecko małe, za które zwykle ojciec albo matka myślą.

Bywało, że gdy przyszedł z kościoła a ktoś go zapytał:

— A jakież tam było dziś kazanie? — to odpowiadał:

— Śliczności, mój kochany!

Ale jak go ktoś zapytał:

— A o czemże ksiądz prawił? — to zwykle odpowiadał:

— A ktoby ta to wszystko spamiętał i ktoby sobie tam nad tem głowę łamał.

Nie zwykł też był Walek nad niczem sobie głowy łamać i nie łamał sobie a z tem, jak sam powtarzał, nieźle mu było. Sąsiedzi jednak łamali sobie nad Walkiem głowy i to nie lada. Walek był chłop silny i nieszpetny a przytem posiadał po rodzicu niczego majątek, więc ten i ów chętnie byłby go rad widzieć swym zięciem.

Walkowi jednak nie spieszyło się wcale. Na wszelkie namowy, czynione w tym względzie, odpowiadał stale:

— Moja baba może jeszcze pacyny pod piecem gryzie, albo się zgoła jeszcze nie ulągła.

I tak mijały miesiące za miesiącami, inni się żenili, dziewuchy się wydawały a Walek jak był, tak pozostał w kawalerstwie.

Aliści może przed miesiącem gruchnęła po wsi gadka, że do Marysi Konopkównej posłał Stach Rogala swaty. W Walka wiadomość ta jakby piorun uderzyła. Kikuty zaczęły mu dygotać i skręcać się, nogi drżeć całe, a gdzieś tam w środku koło serca tak się mu miękko zrobiło, że omal stamtąd przez oczy woda ciurkiem się nie puściła. Co to było i dlaczego tak było, Walek pojąć nie mógł, ale poznał przecież, że wydawanie się innych dziewuch było mu obojętne, a wydania się tej jednej on by znieść nie potrafił.

Na samą myśl, że Marysia mogłaby być czyjąś, dłonie ściskały mu się w pięści, zęby zaciskały bolesnym skurczem, a on pod wrażeniem tej myśli tego, ktoby Marysię chciał był brać za swoją, zębami kąsałby i darł pazurami.

Na jego szczęście a może i na Stacha szczęście Marysia swatów nie przyjęła.

Ostygł Walek na chwilę, ale myśl, gdy się raz w mózg wszczepi, gdy raz do serca się dostanie, nie tak prędko z niego ustępuje. Ty ją wyganiaj, ty się szarp z nią a ona, jak utrapienie ciągle powraca i powraca.

Od owego dnia Walek nie mógł się tej myśli pozbyć: ciągle wracała, spędzając sen z jego powiek, odbierając chęć do pracy. Dziwili się ludzie tej zmianie, ale jej pojąć nie mogli, bo nie wiedzieli, co się działo w sercu Walka. Początkowo i on swego ukochania nie mógł dokładnie określić, nie umiał go miłością nazwać, ale gdy ono nie ustępowało, pojął wkońcu, że to musi być ta miłość, o której tu i ówdzie słyszał.

Gdy sobie jednak zdał z tego sprawę, opanowywała go znowu taka nieśmiałość, że za nic w świecie nie byłby nikomu a tem bardziej Marysi powiedział tego, co tam gdzieś w głębi jego piersi nurtowało.

Zmaganie takie trwało przeszło miesiąc. Walek ciągle szukał sposobności, aby choć zdaleka popatrzeć na Marysię, aby nacieszyć się jej widokiem, ale poza tem nigdy nie uczynił nic więcej, aby do niej się zbliżyć.

Aż dopiero tego wieczoru...

Gdy inni rozmawiali o zbliżającej się wojnie, o siłach Napoleona, gdy przekręcali w niemożliwy sposób jego zwycięztwa, Walek przysiadł się do Marysi i począł jej w oczka zaglądać, nie odzywając się wcale.

Marysia była to dziewczyna dobra i zacna, nieco figlarnego usposobienia. Walka lubiła za jego pracowitość i odwagę, ale nie więcej ponad innych, którzy mu w tem dorównywali. Serduszko jej do nikogo żywiej nie zabiło, byli jej wszyscy równie obojętni

Gdy Stach przysłał swatów, odrzekła bez ogródek, że za niego nie pójdzie, ale nie dlatego, żeby się jej nie podobał, tylko dlatego, że się jej do wydania nie spieszyło.

Dziś, gdy Walek przysiadł się do niej i począł w oczy zaglądać, zapytała:

— I cóżeś ujrzał we mnie, że się tak gapisz, jak na cuda jakie.

Wtedy w Walku coś załomotało, stracił dawną nieśmiałość i jednym tchem począł mówić:

— Maryś, ani ja wiem, co to kochanie, ani ja o niem mówić umię. Jestem chłop prosty i nieuczony. Nie umię ja na usta czułych słów wywodzić, ale to wiem i czuję, że gdyby mi cię kto zabrać miał, tobym go bez namysłu żywota pozbawił. To wiem, że gdyby kto na ciebie krzywo popatrzył, tobym mu oto tą pięścią łeb rozwalił.

— Ale! jaki mi bohater! — zaśmiała się Maryś — a jak prosiaka w mięsopust u sołtysa bili, toś za stodołę uciekł, aby na krew nie patrzeć.

— To prawda — przyznał Walek — ale prosiak nic mi nie był winien, a na niewinną krew, choćby ona tylko bydlęcą była, patrzeć nie mogę. Co innego jednak, gdy mi kto w drodze stanie, wtedy taka zawziętość mnie bierze, żebym pazurami a zębami darł żywcem ciało z niego.

— Ano pokaż tę sztukę a zobaczymy. Ciągnie Napoleon z wojskiem na odwiecznego wroga naszego, idź więc z nim, pokaż twą odwagę a potem.... potem... zapytasz mnie o odpowiedź.

Rzekłszy to Marysia, ubrała swą twarzyczkę w ów figlarny uśmiech, który tak trudny był do zbadania, że nawet najdoświadczeńszy człowiek nie mógł rzec, czy był on li tylko figlarnym uśmiechem płochego dziewczęcia, czy zachętą do rzeczy, do których nakłaniały słowa.

Walek nad znaczeniem uśmiechu nie zastanawiał się wcale. Wstąpiła jednak w niego taka jakaś moc dziwna i zawziętość okrutna na Moskali, że w tej chwili byłby biegl i szarpał ich na kawałki.

Całą oziębłość ku niemu Marysi przypisywał w tej chwili Moskalom. Gdyby nie oni, Polska byłaby wolną, a Marysia polubićby go musiała, gdyż nie byłoby na kim próbować jego odwagi.

Myśl Walka z dziewczęcia przeniosła się na carskich poddanych. Układał sobie w głowie ilu tych sobaczych sołdatów trupem położy, ilu do stóp wielkiemu Napoleonowi rzuci. Zapomniał na chwilę o dziewczęciu i tak, jak stał, gotów był iść na wroga. Nie zauważył nawet, że Marysia już przed chwilą znikła w sieni rodzinnej chaty.

I byłby, Bóg wie jak długo, ważył się Walek ze swojemi myślami, gdyby mu ich był nie przerwał Bartek Mozgała, który w tej chwili zbliżył się do niego. Na zapytanie Bartka, o czem tak myśli, odparł krótko:

— O wojnie!

— Ejże! a z kim? Przecież nie z Napoleonem bić się zamierzasz?

— Nie — odparł Walek — na Moskala idę razem z królem Francuzów, a kto rozumu ma troszkę, każdy to samo uczynić powinien.

Chciał Bartek coś żartem odpowiedzieć, ale stanowczy ton mowy Walkowej zbił go z tropu tak, że odszedł, nie rzekłszy ni słowa więcej.

Od owego wieczoru Walek nie zaznał spokoju. Myśl jego, dotąd prawie bezczynna, była teraz w ciągłej pracy. Szukała ona dróg, któremi właściciel jej najprędzej będzie mógł się dostać w szeregi walczących, przygotowywała środki na daleką i niepewną podróż. Myśl pracowała nietylko w dzień, ale i w nocy. W snach swoich widział siebie wśród licznych szeregów rycerzy, kłującego i rąbiącego żołdaków carskich. To znowu zjawiała się mu Marysia, cała w bieli, siedząca na złocistym tronie, w szatkach królewskich a on znosi jej od rana do wieczora trupy Moskali i rzuca u jej stóp kochanych. A Marysia uśmiecha się doń swym figlarnym uśmiechem i mówi:

— Tyś mój, Waluś, tyś mój! Zaprzestań tej ciężkiej pracy, bo jak będziesz tak dalej rąbał, to zbraknie ludzi na świecie!

Ale Walek kręci głową i powiada:

— Nic to, Maryś! Braknie ludzi, ale mi ty zostaniesz, umiłowana i jedyna! Ale choćbym chciał, to wszystkich wrogów nie wytłukę, tyle się tego gadziaństwa namnożyło, choćbym chciał, nie zdzierżę. A teraz pozwól, choć jednego jeszcze — dla ciebie, królewno!

Tak śnił Walek nocami, tak marzył we dnie, póki nie znikł z Wolicy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przyjdź Duchu Swięty!

I owładnął rzewny smutek i głęboki żal prostaczemi sercami rybaków galilejskich, gdy ze szczytu góry Oliwnej w Betanii, wzniósłszy swe dłonie z błogosławieństwem nad ich głowami, wśród jasnych obłoków Boski Mistrz i Nauczyciel powoli i uroczyście wstąpił do nieba i zasiadł po prawicy Ojca Przedwiecznego. Ciężką żałość osieroconych Apostołów łagodziła obietnica Zmartwychwstałego Nazarejczyka:

— Oto wam ześlę innego Pocieszyciela, gdyż weźmiecie Ducha św. po niewielu dniach, On was uczyni mądrymi i odważnymi i będziecie świadczyć o Mnie śmiało w Jeruzalem i w całym kraju żydowskim i aż na krańce ziemi. Nie opuszczajcie zatem Jeruzalem, aż otrzymacie Pocieszyciela!

Więc, posłuszni słowom Boskiego Mistrza, czekali Apostołowie z upragnieniem, zbierali się razem z Najświętszą Panną w wieczerniku i modlili się. — Wtedy za radą swojego księcia, św. Piotra, badali, którzy z 72 uczniów byli naocznymi świadkami wszystkiego, co Pan Jezus uczył i czynił od chrztu swego w rzece Jordanie, aż do Wniebowstąpienia. Takich było tylko dwóch i z nich wybrali Apostołowie Macieja w miejsce zdrajcy Judasza.

W dziesięć dni po Wniebowstąpieniu Pana Jezusa była u Judajczyków uroczystość Zielonych Świątek i gdy Apostołowie w wieczerniku byli zgromadzeni, nad domem dał się słyszeć silny szum, jakby gwałtownego wichru. Równocześnie nad każdym z Apostołów ukazały się ogniste języki i przybył przyobiecany Pocieszyciel, Duch św., który zstąpił na Apostołów, uczynił ich mądrymi, odważnymi, dał im dar mówienia różnymi językami i moc czynienia cudów. Szum ów słyszeli też zgromadzeni tłumnie dokoła wieczernika żydzi a książę Apostołów, św. Piotr, wyszedłszy do nich ogłosił im uroczyście, że Nazarejczyk, którego oni ukrzyżowali, który potem zmartwychwstał i do nieba wstąpił, jest ich Panem i Zbawcą i wezwał ich, aby uwierzyli w Niego. Mowa jego była tak skuteczną i porywającą, że około trzech tysięcy ludzi dało się ochrzcić, a gdy wnet potem Piotr i Jan, idąc do kościoła, spotkali u wejścia chromego, rzekł mu Piotr:

— W imię Jezusa Nazareńskiego bądź uzdrowion, wstań i chodź!

Natychmiast wstał chromy, wszedł do kościoła i wielbił Boga a na widok tego cudu zażądało chrztu jeszcze pięć tysięcy żydów.

Wierni rozkazom swego Boskiego Mistrza Apostołowie i Uczniowie rozeszli się po całej ziemi i głosili wszelkim narodom Ewangelię św. a głosili z takim zapałem i z taką mocą, iż w imię tej nauki ponosili śmierć męczeńską i przypieczętowywali krwią świętość głoszonych prawd.

Od owych świętych zdarzeń minęło już dziewiętnaście wieków a i dzisiaj biskupi, jako następcy Apostołów, i kapłani, jako następcy uczniów, głoszą niezmienione słowa nauki Zbawiciela a czynią to przy pomocy Ducha św. I teraz kapłani-misyonarze spieszą do pogańskich ludów a wszędzie stale i niezłomnie, wśród trudów i niebezpieczeństw, głoszą zasady nauki Zbawiciela a wsparci w stałości przez Ducha św., męczeństwem swojem stwierdzają Boskość głoszonych prawd. I tak Apostołów i Uczniów w krzewieniu Boskiej nauki Zbawiciela wspierał zawsze ów zesłany Pocieszyciel, Duch św., tak też i my, zabierając się do jakiejś ważnej sprawy i gdy chcemy z powodzeniem rozwiązać jakieś zawiłe zagadnienie naszego żywota, wołajmy zawsze z głęboką ufnością:

— Przyjdź Duchu święty!

Teofil Tryczyński.

Co widzimy na niebie.

Gdy w cichą, pogodną noc zwrócimy swe oczy ku niebu, zasianemu jasnemi gwiazdami, które lśnią i migocą na ciemnem tle nieba, jak drogie kamienie, budzi się w nas mimowolna ciekawość i stawiamy sobie pytanie: czem są te drobne, drżące światełka, któremi usiany jest cały firmament niebieski. Zaspokoić naszą ciekawość może tylko wiedza, opierająca się na długoletnich, mozolnych badaniach.

Wszystkie więc gwiazdy, które widzimy, nazywamy ciałami niebieskiemi. Są to olbrzymie, rozżarzone kule gazowe, tak wielkie, jak nasze słońce albo o wiele większe, unoszące się swobodnie w przestrzeniach wszechświata, ale w takiej od nas odległości, że nawet przez najsilniejsze szkła powiększające wydają się nam jako małe punkciki. Wszystkie więc tak zwane gwiazdy stałe są słońcami, a nasze słońce jest gwiazdą. Dookoła wielu z nich krążą planety, podobnie jak dookoła naszego słońca, ale ponieważ są one ciałami ciemnemi, widzieć ich nie możemy.

Po barwie gwiazd poznają uczeni, w jakim one stopniu rozżarzenia się znajdują. Gwiazdy które dopiero powstały z rozpruszonej materyi gazowej są koloru białego, te zaś które poczynają ostygać, mają kolor żółty i do tych gwiazd należy nasze słońce, wreszcie są jeszcze gwiazdy czerwone, przechodzące okres starości, po którym pokrywają się skorupą i zamieniają się w ciała ciemne, nie świecące własnem światłem.

Niektóre gwiazdy, obserwowane przez teleskop, są podwójne, potrójne itd. Mogą one być tylko złudzeniem naszego wzroku, ponieważ leżą jedna za drugą nieraz w bardzo znacznej odległości, ale na jednej linii z naszem okiem, są jednak gwiazdy fizycznie podwójne, z których jedna jest satelitą drugiej i krąży wkoło większej z nich.

Wszystkie gwiazdy odbywają w przestrzeni nieustanne ruchy, których my, z powodu olbrzymiej odległości, zauważyć nie możemy. Życie nasze jest na to za krótkie, a nawet setki lat nie wystarczają do stwierdzenia tych ruchów. A jednak człowiek za pomocą trójkątnego szkiełka - pryzmatu, posiadającego własność rozszczepiania promieni światła dowiedział się nietylko z czego się te ciała składają, ale nawet w jakim kierunku się posuwają. Pewien uczony powiedział, że gdyby nasz wzrok nabrał nadprzyrodzonej siły i przeniknął cały wszechświat, ujrzelibyśmy niezliczoną ilość gwiazd, wirującą w nieustannym ruchu, jak tumany kurzu na ziemi.

Oprócz gwiazd istnieją we wszechświecie gołem okiem dostrzegalne obłoczki, zwane mgławicami. Są to albo skupienia gwiazd, które chociaż daleko leżą jedne od drugich, to jednak z powodu wielkiego nagromadzenia wydają się nam jako biały obłok i taką mgławicą jest np. droga mleczna, do której i nasze słońce należy, albo też bezkształtna, rozprószona we wszechświecie, masa gazowa, z której powstają nowe słońca i inne ciała niebieskie.

Nieskończone przestrzenie oddzielają te światy jedne od drugich, tak że nawet światło, biegnące z szybkością 4000 mil geograficznych na sekundę, potrzebuje całych lat a nawet setek lat do ich przebycia. Naprzykład światło najbliższej od nas gwiazdy dostaje się na ziemię po upływie 4 i pół lat, to znaczy że gdyby ta gwiazda w tej chwili zgasła, to oglądalibyśmy ją jeszcze przez 4 i pół lat. Gwiazda polarna oddalona jest od nas o 42 trylionów mil a światło jej dostaje się na ziemię po upływie 30 lat.

Co za olbrzymie przestrzenie! wyobraźnia się nurzy, umysł się cofa przed nieskończoną przepaścią, a człowiek czem jest wobec tego ogromu? Nawet nie marnym pyłkiem.

Jan Szybowicz.

Jan Zamojski w gościnie u Kochanowskiego w Czarnolesiu.



Znane są wszystkim przepiękne pieśni Jana Kochanowskiego: »Kto się w opiekę podda Panu swemu«, oraz »Czego chcesz od nas Panie«. Wiadomo też, że poeta ten miał córkę Urszulkę, która, licząc zaledwie trzy lata życia, mówiła pięknymi wierszykami. Pamiętne są słowa Urszulki, wyrzeczone do Zamojskiego, gdy odwiedził Kochanowskiego w Czarnolesie. Gdy bowiem Zamojski rzekł do dzieweczki, iż ją z sobą zabierze, ta odpowiedziała: — Nie! ja dziewczyna, tobie trzeba syna! Mnie weźmie kto inny, aniołek niewinny. — Na obrazie malowanym przez malarza, Karola Millera, widzimy Kochanowskiego, siedzącego z Urszulką pod lipą, a na lewo Zamojskiego, zbliżającego się ku nim.

Frankowe wesele.

Wcesno wiesna ozsiwa pachnące kwiotki. Cicho w powietrzu, jino hań wysoko w pustaci jastrzomb zakwili, lebo sie ka ze scytu skała odwali i grzmi, lecący w przepaść. Wiater, nahulawszy sie w zimie ślebodnie,[1]) zapod kanysi w Dunajcowe garła, lebo połozył sie na wirchach, coby se zasie wypocon. — Kany spoźreć, wsędzie juz zielono. Nostarsi ludzie nie przibacujom se takij wiesny.

Po ubocy [2]) idzie ku Zapałowyj polanie Franek Groński, świarny parobek. Zeby nie sikira w gorzci, myślołbyś ze idzie na wesele, bo tak raźno wyrzuco nogami, jaz mu z pod nik piarg [3]) furcy. Siumno mu śpiwo cosi w dusy, bo i bez cózby nie? Dzisiok przecie pedzioła mu Hanka Krzistkowa, ze go miłuje, a ze i stary Krzistek mu nie krziw, to i weselisko bedzie ze jaz hej! Dała mu pierzcionek śrybny z siwem ockiem, co jij go z Hameryki chrzestno matka przisłała, i pedo:

— Nosze go, Franuś, noś na tym palicu a nie zaboc se o mnie!

Hej! mocny Boze, a kazby on o nij zabocył. Toć przecie idzie tero, coby ściąć Zyślowi jodłę a kie zarobi te pore grajcarów, to kupi jij takom świarnom chustke, co takij zadno dziwka we wsi ni mo.

Przistanął krzine, obtar coło i zaśpiwoł se z całego garła, jaz mu echo hań od Turbacyka odegrało:

»Hej, kanyz sie obraco Hanuś ulubienie,
Hej, popod Obidowiec biołe owce zenie«.
Hu, hu, hu, hu!

Obeźroł sie kole siebie. Mgła podnosiła sie z młak,[4]) słonko stacuwało sie juz pomaluśku za Babią górę i uboc tonęła w mroku. Chłodnij sie zrobieło; Franek wytchnąwsy kielo telo, sed dalij w górę ku wyrębowi, ka widno beło dwie jesce jedle, co samiućkie stojały w tyj pustaci,[5]) kie płacki nad grobem swojich sióstr, co je zydosko sikira pokotem połozyła i kanysi w świat wyprawiła. Po kwili doseł do onych jedli, hazuke i kapelus prasnął o ziem, wytchnał krzinę, potem splunął w garzć i zacon podcinać hrubsą jedlę. Lecą trzaski z pod Frankowyj sikiery, ze drzewo jaz jęcy; pedziołbyś, co za kazdem uderzeniem dusa śniego wychodzi, bo kuzde drzewo mo tyz swojom duse... hej! Franek nic nie pyto, jacy tnie a tnie, jaz jedla jęknęła głucho, trzasła i pomaluśku obaliła się na swojom towarziszke, jakby sie fciała śniom pozegnać. Spletły sie obidwie kunorami, kieby rencami, w ostatnim uścisku i tak ostały.

Franek ozeźlił sie i zaklon:

— Psio bestyjo! bez coześ sie nie obaliła! Tero nima insy rady, jacy wyniść haniok w góre i obcinać kunory, coby cie oderwać...

Jak pedzioł, tak i zrobieł. Kie ryś wydropoł sie na wirch i obkrzesuje gałęzie, coby jedlę uzwolić i spuścić na ziem. Jesce dwa kunory, jesce jeden.... i jedla leci kie pieron ku ziemi. Prasnęła o uboc, jaz zadudniało. W tyj samyj kwili ozdar powietrze strasny krzik:

— O Jezu! — i pod jedlą widno Franka, jak rycąc z bólu, wije sie kie pstrong w podrywce. Podźwignąć sie nie zdoli, bo go do ziemi przibiło. To ta psiowiara jedla, jakby sie fciała zemścić na nim za to, ze jom ścion, chyciła go, lecący, sękiem za kirpiec i zakiel sie obeźroł, juz beł na ziemi. Niescęście fciało, ze beł tamok suchy, cienki na wirchu odziomek i na niego to prasnęło Frankiem. Wbił sie psiojucha ten odziomek we Frankowe piersi, przebił prawe płuco i jaze grzbietem, pod łopatkom wyloz.

Jensy bełby dorazu skończył, ale Franek to mocny chłop, nie ciarach zaden. Sarpnoł sobom, zeby zadziore wydrzyć, ale właśnie bez to sarpnięcie złomała sie i ostała w ranie. Zamrocyło sie Frankowi w ocach, ale nie upod, jacy spuścił sie ubocem w dół, i pędzi, potykając sie o jałowce. Co upadnie, to zaś sie podźwignie i leci — wołając ratunku boskiego i ludzkiego. W usach mu zbyrko, w ocach mgła, na cole zimny pot, gemba bioło, kie godni opłatek.

Zeby choć do Cieślока leśnego, co mo chałupe nad potokiem... Ale to jesce kawał, a jemu juz sie nogi plontajom, w gębie pełniućko krwi.... Juz nie bacy, ka leci...

Dolecioł przecie cudem boskim heba i upod w sieni na progu, jęcąc jacy i zembami zgietlając. Wypod Cieślok, wyleciała jego baba ze zgrachą [6]); podniesły z ziemie i połozyły w izdebce na wyrku trupa, bo dusa juz wysła sukać lepsyj doli hań....

. . . .

Nie dockoł wesela, nie powiód Hanusi przed ołtarz, nie usłysoł, jak organista zagro »Wenikrot«. Wywiezły Franka w smrekowy trumnie i schowały pod mogiłkę na niedźwiedzkim smentorzu. Kaz sie podzioła jego młodość, ka sie podziała ta radość, co mu przed trzema dniami tak sumiennie we wnątrzu serca śpiwała, ka syćkie jego dzieje?

— A Hanusia? — spytacie — hej! mocny Boze! Kie trumne do ziemie spuscali, nie pedziała nic, nie zapłakała nawet, jino wyglądała jak trup nad truchtem, bo to co umiełowała, schowali haw pod kupę gliny! Co jij ta juz tero po zyciu! Ostała samiućka, kieby ta jedla na pustaci, cekający, coby kie w jesieni uderzy powicher i jom wyłomoł, wyrwoł i pracnął na ten sam smentarz... hej!

[1]) ślebodnie = swobodnie.
[2]) uboc = stok góry.
[3]) piarg = skalne usypisko.
[4]) młaki — bagna.
[5]) pustać = puste miejsce.

[6]) zgracha = dzieci.

Władysław Sioło.



Wytrwałości!...

Mili Bracia, Siostry drogie,
Ja wciąż słyszę jeden jęk:
Ach my biedni, my ubogie!...
Kiedyż przyjdą chwile błogie?
Zabrzmi szczęścia dźwięk!...

Dźwięki lutni tego ludu
Jednym echem zawsze brzmią:
Nieba, nieba! dajcie cudu!
Skruszcie węzły życia trudu,
Bo nas zdusić chcą!

Nie upadać! — Bracia mili.
Na wybojach ostrych dróg!
Lecz się krzepić w każdej chwili,
Żebyśmy się nie wstydzili,
Gdy napadnie wróg!

Prawda, ciężkie życia brzemię
I do ziemi barki gnie!
Lecz kto pod niem nie zadrzemie,
Biorąc w pomoc Boskie Imię —
Nie upadnie, nie!

Bo orężem wytrwałości
Zmożem pokus wszelkich rój;
A po burzy, po przykrości,
Radość w sercu znów zagości
I osłodzi znój!!

Walenty Pasierb.

ROZBITKI Z BALONU.

CZĘŚĆ II.

ROZDZIAŁ I.

Zaopatrzenie szalupy w przyrządy. — Napad lisów. — Jow ranny. — Pielęgnowanie. — Jow wyleczony. — Wykończenie łodzi. — Tryumf Penkroffa. — Bonawentura. — Pierwsze próby. — Niespodziewany dokument.

Przez cały tydzień trwały tak tęgie mrozy, że koloniści nie mogli wyjść z domu i przez ten czas marynarz z Harbertem pracowali tak gorliwie, że wykończyli wszystkie żagle, bloki i inne przyrządy okrętowe.

Zima już się kończyła i zdawało się, że minie bez żadnego ważniejszego wypadku, gdy płaszczyzna Pięknego widoku o mało co nie uległa spustoszeniu jedenastego sierpnia w nocy.

Koloniści spali głęboko. Około czwartej rano obudziło ich głośne szczekanie Topa. Nie szczekał przy otworze studni, lecz przy drzwiach, skacząc na nie, jakby je chciał otworzyć, a Jow ze swej strony wydawał piskliwe okrzyki.

— Co ci się stało, Topie? — zapytał Nab, najpierwej przebudzony.

Pies w odpowiedzi głośniej jeszcze zaczął szczekać.

— Co to takiego? — rzekł Cyrus i zerwał się z posłania.

Wszyscy poszli za jego przykładem i ubrawszy się naprędce, pootwierali okna i wyjrzeli. Tak było ciemno, że zaledwo mogli dojrzeć śnieg, leżący na ziemi; zato usłyszeli dziwne szczekanie, dowodzące, że na wybrzeżu znajdują się jakieś zwierzęta, których nie mogli dojrzeć.

— Co to być może? — zapytał Penkroff.

— Wilki, jaguary albo małpy — odpowiedział mu Nab.

— Do licha! Mogą dostać się także na płaszczyznę — rzekł reporter.

— A nasz kurnik, nasze pole i ogród! — zawołał Harbert.

— Którędy one przeszły? — rzekł Penkroff.

— Zapewne jeden z nas zapomniał spuścić most nad strumieniem — odpowiedział inżynier.

— Rzeczywiście — odpowiedział Spillet — przypominam sobie, że go otworzyłem.

— To dopiero narobiłeś nam bigosu! — odezwał się marynarz.

— Co się stało, tego już nie cofniemy — odpowiedział Cyrus. — Pomyślmy lepiej, co teraz czynić wypada.

Nie ulegało wątpliwości, że na wybrzeżu były jakieś zwierzęta, które z lewego brzegu Mercy mogły dostać się na płaszczyznę, trzeba więc uprzedzić je i wypędzić choćby z bronią w ręku.

— Ale co to mogą być za zwierzęta? — zapytał ktoś powtórnie wtenczas właśnie, gdy znów głośniejsze rozległo się szczekanie.

— To lisy! — zawołał Harbert.

— Naprzód! — krzyknął marynarz.

Koloniści, uzbrojeni w siekiery, karabiny i rewolwery, spuścili się na dół i choć spotkanie z tym gatunkiem lisów jest niebezpieczne, jeżeli są w znacznej liczbie i do tego głodne, nie wahali się rzucić na zwierzęta, które też po pierwszych wystrzałach cofnęły się nieco. Szło głównie o to, aby lisy znalazły zaporę na wąskim kawałku wybrzeża, pomiędzy rzeką a granitową ścianą; tam też, na rozkaz Cyrusa, pobiegli koloniści i stanęli rzędem w pewnych odstępach. Top szedł naprzód, pokazując groźnie zęby, a tuż za nim podążał Jow, wywijając grubym sękatym kijem, jak maczugą. Noc była tak ciemna, że koloniści mogli tylko przy błysku wystrzałów widzieć napastników, których musiało być co najmniej stu; oczy ich w ciemności świeciły się jak rozżarzone węgle.

— Nie można ich tu wpuszczać! — zawołał Penkroff.

— Nie wpuścimy — odpowiedział inżynier.

Jeżeli jednak nie wtargnęły na płaszczyznę, to nie z braku chęci. Ostatnie szeregi pchały naprzód pierwsze i zdawało się, że liczba lisów nie zmniejsza się wcale, chociaż wybrzeże musiało już być zasłane ich trupami.

Wkrótce rozwścieczone zwierzęta zaczęły rzucać się na broniących im wstępu, którzy jednak szczęśliwie lekkie tylko ponieśli rany. Jeden z lisów zginął na plecach Naba; Harbert spostrzegł iskrzące się jego oczy, przyłożył mu do lwa rewolwer i wystrzelił. Top walczył z największą zajadłością i dusił przeciwników, chwytając zębami za gardło; a Jow, którego wzrok jak widać przebijał ciemności, biegł gdzie było najwięcej napastników i gruchotał im kości swą pałką, wydając za każdem uderzeniem ostre gwizdnięcie, co było u niego oznaką wielkiej radości. Przy blasku wystrzału widziano go, jak z zimną krwią walczył z kilkoma, otaczającemi go zwierzętami.

Po dwugodzinnej walce zwycięztwo przechyliło się na stronę kolonistów, gdyż, jak tylko świtać zaczęło, lisy zaczęły ustępować z placu i uciekać przez mostek, który następnie Nab spuścił coprędzej.

Przy blasku dziennym koloniści przekonali się, że na placu boju leżało co najmniej pięćdziesiąt lisów i szczerze ucieszyli się z odniesionego zwycięztwa.

— A Jow — zawołał nagle Penkroff — gdzie jest Jow?

Jow zniknął gdzieś, a chociaż Nab przywoływał go głośno, nie przybiegł na jego wołanie.

Wszyscy zaczęli szukać Jowa, lękając się, czy nie zginął. Znaleziono go wśród stosu zabitych lisów, których pogruchotane czaszki i żebra świadczyły, z czyjej zginęły ręki. Biedny Jow trzymał jeszcze w ręku kawałek swej pałki. Pozbawiony broni uległ przemocy, czego dowodziły zresztą głębokie rany na piersiach.

— Żyje jeszcze! — wykrzyknął klęczący przy nim murzyn.

— I wyleczymy go — zawołał marynarz — będziemy go pielęgnowali tak starannie, jak gdyby był człowiekiem.

Można było sądzić, że Jow zrozumiał te słowa, bo oparł głowę na jego ramieniu, jakby mu chciał podziękować. Nab i Penkroff przenieśli go na rękach aż do windy, posadzili na świeżem, miękkiem posłaniu i starannie obmyli jego rany. Zdawało się, że żaden z ważniejszych organów nie został uszkodzony, ale Jow był bardzo osłabiony z powodu utraty krwi, dostał silnej gorączki. Opatrzono troskliwie jego rany, poddano surowej dyecie, przygotowano do picia chłodzący napój, słowem, według wyrażenia Naba, obchodzono się z nim, jak z prawdziwym chorym.

Przez kilka dni obawiano się bardzo o Jowa, wkońcu jednak silna natura jego przemogła, gorączka zmniejszała się, a Gedeon Spillet, który znał się trochę na medycynie, oświadczył, że niebezpieczeństwo już minęło.

Po dziesięciu dniach Jow zaczął już wstawać. Rany jego zabliźniły się i można było przewidzieć, że niedługo odzyska dawniejszą zwinność i siły. Jak wszyscy przychodzący do zdrowia, miał ogromny apetyt. Nab powtarzał, przynosząc mu różne smaczne kąski,

— Przelałeś ty za nas krew swoją, więc też my powinniśmy postarać się o to, ażeby ci nowej przybyło.

Dnia 25 sierpnia koloniści, zgromadzeni w wielkiej sali, usłyszeli głośne wołanie Naba:

— Panie Cyrusie, panie Gedeonie, panie Harbercie, Penkroffie, chodźcie tu, chodźcie tu, tylko prędko!

Wszyscy zerwali się i pobiegli.

— Cóż się stało? — zapytał reporter.

— Patrzcie, panowie — rzekł z głośnym śmiechem, wskazując ręką.

Jow siedział na progu Granitowego pałacu ze zgiętemi jak Turek nogami i poważnie palił fajkę.

— Moja fajka! — zawołał Penkroff — moja własna fajka! O! chętnie ci ją daruję, mój poczciwy Jowie! Pal, mój przyjacielu, pal!

Jow wypuszczał poważnie wielkie kłęby dymu, co, jak się zdawało, nieopisaną sprawiało mu uciechę. Nie zdziwiło to bynajmniej Cyrusa, który też zaraz oświadczył Penkroffowi, że niema w tem nic nadzwyczajnego, gdyż widział już oswojone małpy, namiętnie lubiące tytoń.

Odtąd Jow miał swoją własną fajkę i swój tytoń; sam ją nakładał, sam zapalał rozżarzonym węglem i zdawał się być najszczęśliwszym z czwororękich stworzeń.

— Może to człowiek? — mawiał niekiedy marynarz do Naba. — Czyby cię to bardzo zdziwiło, gdyby kiedy przemówił do nas?

— Bynajmniej — odpowiedział murzyn. — Więcej mnie to dziwi, że dotąd nie przemówił.

— Jakby to było zabawne — dodawał marynarz — gdyby kiedy rzekł do mnie: pomieniajmy się na fajki, Penkroffie!

— To prawda — mówił Nab. — Jakaż to szkoda, że jest niemym z urodzenia!

Zima skończyła się we wrześniu i zaraz rozpoczęto roboty poza domem. Budowa statku postępowała szybko, pomost już był ułożony, pokryto szkielet statku klepkami, które za pomocą pary wodnej uczyniono tak giętkiemi, że mogły się giąć stosownie do jego kształtu.



— Butelka — rzekł, prostując się.

W pierwszym tygodniu października wykończono maszty, reje, wiosła i wszystko, czego jeszcze brakowało. Postanowiono wypróbować naprzód statek przy brzegach wyspy, aby zobaczyć, jak się będzie trzymał na morzu i czy można mu zaufać.

Dnia 10 października zepchnięto statek na sam brzeg rzeki, skąd już w czasie przypływu morza uniosły go fale, przy radosnych okrzykach kolonistów, a szczególniej Penkroffa, który otwarcie pysznił się swem dziełem i spadającą na niego godnością. Miał być przecież kapitanem.

Aby zadowolić kapitana Penkroffa, trzeba było, nie zwlekając, nadać nazwę jego statkowi; wszyscy uznali za rzecz stosowną, aby nosił chrzestne imię zacnego marynarza — »Bonawentura«.

Czas był śliczny i wiatr pomyślny, postanowiono więc wypróbować szalupę tegoż samego dnia. Po zjedzeniu śniadania, zabrano z sobą trochę żywności, i o dziesiątej godzinie już znajdowali się na pokładzie. Nab i Harbert podnieśli kotwicę, na szczycie masztu ukazała się amerykańska bandera. »Bonawentura« wypłynął na pełne morze i pasażerowie przekonali się z głębokiem zadowoleniem, że wybornie przydaje się statek do żeglugi.

— Jakże, panie Cyrusie — zapytał Penkroff — jesteś pan zadowolony z naszego statku?

— Zupełnie! — odpowiedział inżynier.

— Wybornie! A czy sądzisz pan teraz, że można przedsięwziąć dłuższą podróż?

— Jaką podróż, Penkroffie?

— Na wyspę Tabor — odpowiedział marynarz.

— Mój przyjacielu — rzekł Cyrus — nie wahałbym się przebyć na »Bonawenturze nawet większej przestrzeni, gdyby tego była potrzeba, ale było by mi przykro, gdybyś podpłynął do wyspy Tabor bez żadnego celu.

— Warto zawsze znać swoich sąsiadów — odrzekł Penkroff — a wyspa Tabor jest naszą sąsiadką i do tego jedyną. Sama grzeczność nakazuje, abyśmy jej złożyli wizytę.

— Pomyśl i o tem Penkroffie, że nie mógłbyś sam płynąć do wyspy Tabor.

— Dosyć mi będzie jednego towarzysza.

— A więc — odpowiedział inżynier — nie lękasz się narazić naszą kolonię na stratę dwu z pięciu jej członków?

— Ależ tu nie grozi żadne niebezpieczeństwo, panie Cyrusie — rzekł marynarz.

— Być może, Penkroffie, jednak powtórzę ci jeszcze, że narażałbyś się bez potrzeby.

Marynarz nie przedłużał więcej rozmowy, lecz miał silne postanowienie rozpocząć ją później. Nie wiedział o tem, że wypadek przyjdzie mu w pomoc, zamieniając nieuzasadnioną zachciankę na dzieło miłosierdzia.

Statek zbliżył się znów do brzegu i zmierzał do portu Balonu, gdzie wypadało poznać przejścia między ławami piasku i rafami, i w razie potrzeby poumieszczać znaki ostrzegające.

O pół mili od brzegu, wiatr, powstrzymywany w części przez wzgórza, ucichł prawie zupełnie i statek posuwał się dość wolno. Harbert wskazujący, jaką płynąć drogą, aby wyminąć skały, zawołał nagle:

— Z wiatrem, Penkroffie, z wiatrem!

— Czemu? — zapytał marynarz, wstając. — Czy płyniemy na skały?

— Nie, nie, widzę dobrze — rzekł Harbert. — Trochę bliżej brzegu... Teraz dobrze!

Harbert, mówiąc to, przechylił się i zanurzył rękę w wodzie.

— Butelka! — rzekł, prostując się.

Trzymał w ręce zakorkowaną butelkę, którą zaraz oddał inżynierowi. Cyrus utrącił szyjkę, wyjął z butelki wilgotny kawałek papieru i przeczytał:

»Rozbitek... Wyspa Tabor: 153 stopni dł. Z. — 37 stopni 11 minut sz. P.«

(Ciąg dalszy nastąpi).



MACIEK BZDURA GADA:

Casem to coś cłeka tak zacnie świrzbić na wnątrzu i jakaś zmora gryźć w sercu, ze ani rady sobie dać z tem nie moze. Jak cłeka pchła gryzie, abo mucha scypie, to cłek naostrzy pazury i zacnie niemi harować po skórze, ze świędzenie, choćby się krew puściła, ustać musi. Ale cłek ni ma w sobie taki dziury, aby nią ręcami do wnatrza dostał i po nim się podrapał, coby to świędzenie ustało. I wtedy takie świędzenie na wnątrzu nazywają ludziska zmartwieniem.

Myślałbyś, ze jak jednego cłeka takie zmartwienie na wnątrzu chyci, to drugi, choć nie garzcią, ale dobrem słowem go podrapie... Ale gdzietam! Podrapie go, ale tak, ze go to zmartwienie jesce bardzi gryźć będzie.

Jak jeden abo drugi użry, ze cłek samoce się ze swoją zgryzotą, to udaje niby przyjaciela i pyta, choć wi dobrze.

— A kumie, a co wam to?

— Kumie, jak to było?

— Kumie, a co będziecie z tem robić?

I choć ni ma na to podrapanie zadny mocy, to się rozpytuje, aby albo swoją ciekawość zaspokoić, albo, aby temu bidakowi jesce większe świrzbienie sprowadzić.

A jak się taki zmartwiony człowiek na dobitek jesce na babskie języki dostanie, to ranyściewy! Tak go wynicują, tak go wypucują, ze suchy nitki na nim nie zostanie.

A przecie to brzyćko i nieładnie, bo ludzkiemu boleniu pomódz trzeba, a jeśli się likarstwa na nie ni ma, to zaprzyć gębę na śtyry pary zębów i ani pary z ni nie puścić.

A temcasem przyjdzie kuma do kumy i niby tak od niechcenia pocnie pytlować:

— A wicie kumo, komowi to ciele zdechło.

— Co padacie, naprawdę? — pyta druga kuma i leci do trzeci i zaraz prawi:

— Wicie, kumo! kum zabił ciele bez złość!

A ta trzecia zaraz ci goni do cwarty i znowu śkwircy:

— Kumo! — kum, to pono proł babę i zamiast baby zabił se swoje rodzone ciele!

A znów ta cwarta kuma to juz o cielęciu całkiem zapomina a opowiada piąty kumie, ze kum to tak swoją babę sprał, ze jaze musieli posyłać po dochtora.

I tak gadka przez wieś coraz dali leci, jaz urośnie taka wiolgaśna, jak floryański kościół, abo maryacka brama. A tu temcasem kumowi ino cielątko zdechło, a jego zamiast kto w tem zmartwieniu pozałować i pociesyć, to jesce do tej załości bajdów nadodaje i większego zmartwienia mu narobi. Jemu same nu z tego nic nie przyjdzie a somsiadowi ino złości tyle narobi, której nikt juz odrobić nie zdoli.

Z TYGODNIA.

Ś. p. Bolesław Prus. W Warszawie zmarł jeden z najznakomitszych powieściopisarzy Aleksander Głowacki, który od wielu lat znany był i wysoko ceniony jako pisarz, ogłaszający swe utwory pod przybranem nazwiskiem Bolesława Prusa. Był to gorący patryota, człowiek pełen serca i odczucia dla doli kraju, prawdziwy nauczyciel swego narodu. Zgon jego wywołał w całej Polsce serdeczny żal.

Sprawa wychodźtwa w parlamencie. W tej tak ważnej dla naszego kraju sprawie podczas rozpraw w parlamencie wiedeńskim generalny mowca za wnioskiem o ustanowienie fachowych urzędników emigracyjnych na granicy, poseł ludowy Lasocki podniósł, że liczba wychodźców do krajów zamorskich z Austryi wynosi rocznie 150.000, zaś wychodźców do innych państw Europy 350.000 rocznie. Rocznie opuszcza więc Austryę ogółem pół miliona ludzi. Wielka ich część ginie za granicą, albo przynajmniej ginie dla ojczyzny. Z wracających jest wielu fizycznie i moralnie złamanych i stają się ciężarem dla gminy, do której należą. Jedyną korzyścią wychodźtwa są oszczędności przysyłane do ojczyzny, które wynoszą 250 milionów rocznie. We Włoszech obliczają przesyłane przez wychodźców sumy na 500 milionów rocznie i słusznem jest twierdzenie, że emigranci włoscy płacą długi Włoch. Powód dlaczego nasi, jak wiadomo, pilni i tędzy robotnicy mniej zarabiają niż włoscy, tkwi w tem, że Włosi cieszą się wyborną obroną swoich interesów, czego zupełnie brak robotnikom austryackim. Mimo że o wydaniu ustawy emigracyjnej już wiele razy radziła Izba posłów, Izba panów i delegacye, mimo że ją mowa tronowa już trzykrotnie zapowiadała, przecież dotąd nie posiadamy tej ustawy. Mowca protestował przeciw temu, by w państwie niemieckiem, sąsiedniem i zaprzyjaźnionem, stosowano do naszych robotników ustawy wyjątkowe, sprzeczne z zasadą swobodnej zmiany miejsca pobytu. Byłoby rzeczą naszego rządu zwrócić uwagę Niemiec na to, by naszych obywateli tak samo traktowały, jak się traktuje niemieckich poddanych tutaj. Po przemówieniach innych posłów Izba przyjęła wniosek, aby rząd jak najrychlej ustanowił referentów fachowych dla spraw wychodźtwa do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej i Kanady, oraz Stanów Ameryki południowej i tych państw Europy, do których stale kieruje się emigracya sezonowa i by o tem zdał sprawę Izbie. Następnie przyjęto drugi wniosek, że ci referenci muszą zupełnie władać językami ojczystymi dotyczących wychodźców, i trzeci, wzywający rząd do przedłożenia jak najrychlej projektu ustawy, regulującej kwestyę wychodźtwa. Przyjęto także wniosek w sprawie popierania i subwencyonowania duszpasterstwa w interesie wychodźców.

Rusini o własny uniwersytet. Jak już pisaliśmy, Rusini z całą energią starają się doprowadzić do skutku założenie osobnego uniwersytetu we Lwowie. Ponieważ ich zdaniem rokowania z rządem i Kołem polskiem trwają za długo, uciekli się w parlamencie do obstrukcyi. Taką długą obstrukcyjną, przewlekającą obrady mowę wypowiedział dnia 17 b. m. poseł ruski Folis. Na tem jednak obstrukcya się nie zakończyła. Po dłuższej naradzie prezydyum klubu ukraińskiego otrzymało zapewnienie od dotyczących ministrów, że w najbliższych dniach otrzyma klub ukraiński od rządu stanowczą i zadowalniającą odpowiedź w sprawie utworzenia samoistnego ukraińskiego uniwersytetu.

Choroba prezydenta gabinetu. Prezydent gabinetu, hr. Stürgkh, zapadł dość poważnie na cho-

robę oczu. Hr. Stürgkh, który jest krótkowidzącym, w ostatnim czasie ogromnie wiele ślęczał nad aktami i raportami, a obecnie lekarze zabronili mu przez cztery tygodnie wszelkiej pracy. Przez czas urlopu hr. Stürgkha zastępować go będzie minister Heynold.

Odwiedziny królów w Wiedniu. Król bułgarski wraz z żoną i następcą tronu Borysem przybędzie w odwiedziny do cesarza dnia 1 czerwca, para królewska zabawi w Wiedniu dwa dni. Król Mikołaj czarnogórski prawdopodobnie 8 czerwca przed południem przybędzie w odwiedziny do cesarza i zabawi w Wiedniu jeden dzień. Odwiedziny te zapewne nie są bez związku z toczącą się wojną turecko-włoską i zachowaniem się Bułgaryi i Czarnogóry wobec sąsiedniej Turcyi, ku której nie żywią wcale przyjaznych uczuć.

Wrzenie w Macedonii. Mimo wzmocnienia wojsk tureckich utrzymali się powstańcy macedońscy przy pozycyach pod miejscowością Istok i zabarykadowali drogi. Minister wojny turecki rozkazał dla pewności wysłać dalszych sześć batalionów z Monastyru i Saloniki do okręgu powstańczego. Liczba powstańców wynosi około 2 tysięcy. Połowa z nich zgromadziła się na wzgórzach w okolicy Dyakowy. Poselstwo tureckie, które miało powstańców uspokoić, wróciło bez skutku. Powstańcy oświadczyli, iż stracili zaufanie do rządu.

Z wojny włosko-tureckiej. Kroki wojenne Włochów na wyspach morza Egiejskiego były konieczne ze względu na opinię publiczną we Włoszech, domagającą się »czynów wojennych«. Pomyślną dla Włochów okolicznością jest fakt, że mogą z Trypolisu zabrać znaczne oddziały wojska na nowy teren wojny, aż do jesieni bowiem wystarczają znacznie mniejsze siły do obrony zdobytych już stanowisk w Trypolisie. Wyspa Rodos poddała się zupełnie Włochom. Wszystkie wojska tureckie, znajdujące się na wyspie, zostały wzięte w niewolę, a broń wydano Włochom, którzy zajęli także inne wyspy na morzu Egiejskiem.

Śmierć króla duńskiego. Dnia 14 bm. zmarł nagle w Hamburgu bawiący tam chwilowo król duński, Fryderyk VIII. Podczas przechadzki o godzinie pół do 10 wieczór, w powrocie do hotelu nagle zasłabł. Jeden z przechodniów podtrzymał go i sprowadził samochód, a ponieważ nikt go nie znał, zawieziono króla do szpitala. Podczas jazdy zmarł, nie odzyskawszy przytomności. Powodem śmierci był udar serca. Zmarły król duński, objąwszy dnia 29 stycznia 1906 r. tron małego królestwa, liczył już 63 rok życia i miał wyrobione sądy o polityce. Już jako następca tronu miał zmarły król opinię polityka umiarkowanego i rozważnego. W najdrażliwszej sprawie stosunków pomiędzy Danią a Niemcami, właściwie zaś Prusami, które odebrały Danii prowincye Szlezwig i Holsztyn, umiał Fryderyk VIII zachować stanowisko, które zarówno odpowiadało godności Danii, jak konieczności pogodzenia się z faktem na długie lata, jeżeli nie na zawsze. Za jego panowania Dania doszła do dobrobytu i wysokiego stopnia rozkwitu gospodarczego.

W stolicy Danii, w Kopenhadze, na wiadomość o śmierci króla, ogłoszono królem najstarszego jego syna Chrystyana. Nowy król wygłosił z balkonu zamku królewskiego krótką mowę do tłumnie zebranej ludności. Nowy król podniósł, że wziął na barki swoje wielką odpowiedzialność, ma jednakże nadzieję, że, równie jak zmarły król, pozyska sobie zaufanie ludności, mając zawsze na celu szczęście, wolność i samodzielność Danii. Tłum odpowiedział na mowę okrzykami, pełnymi zapału. Dnia 17 maja przewieziono zwłoki króla z Hamburga do Danii.

KRONIKA.

(F. S.) **Uczczenie rocznicy konstytucyi 3 Maja.** W Paszczynie, w powiecie ropczyckim, zorganizowała się młodzież w Kółko, które wzięło sobie za cel szerzenie zdrowej oświaty a szczególnie uświadomienia narodowego. Prócz młodzieży, to jest członków zwyczajnych, których Kółko liczy 37, jest w owem Kółku kilku członków nadzwyczajnych tj. honorowych albo wspierających, którymi są: ks. Aleksander Piotrowski katecheta z Lubziny, Jan Piątek, kierownik szkoły, Franciszek Maciaś nauczyciel, poseł Jedynak, Piotr Maroń i Andrzej Glinka, maturzysta. Niedawno, bo dopiero z początkiem marca, zostało owo Kółko zorganizowane a już daje się widzieć jego działalność. W niedzielę po nieszporach nie ujrzy nikt błąkającej się po drogach młodzieży, ale jest jej pełno w sali szkolnej, gdzie spędza wolne chwile niedzielnych wieczorów przy godziwej zabawie albo przy czytaniu gazet, lub też przy słuchaniu wykładu którego z członków honorowych. — Najlepszem świadectwem żywotności tego Kółka był obchód konstytucyi 3 maja, który się odbył w niedzielę, dnia 5 maja, a który był urządzony głównie staraniem Kółka. Uroczystość obchodu rozgłosiły strzały z moździerzy. O godz. pół do 10 rano wyruszył pochód zgromadzonej młodzieży na nabożeństwo do kościoła w Lubzinie, śpiewając przez drogę narodowe pieśni. W pochodzie wzięła udział także straż pożarna. Podczas nabożeństwa młodzież kółkowa śpiewała na chórze pod kierunkiem nauczyciela Maciasia bardzo pięknie przeważnie patryotyczne pieśni.

Przy okazyi obchodu odbył się wiec w sprawie upaństwowienia szkoły w Białej, urządzony przez dębickie Koło TSL. Na godzinę 6 wieczorem do sali szkolnej, przybranej zewnątrz i wewnątrz w wieńce i świerki, zeszło się tyle ludzi, że nie mogli się pomieścić, reszta więc musiała stać w sieni. Przed rozpoczęciem wiecu odśpiewano »Z dymem pożarów«. Po zagajeniu przez Jana Siwulę zabierali głos: prof. Miller z Dębicy o ucisku Polaków pod zaborem pruskim i na Śląsku pr., ks. Piotrowski o konstytucyi 3 maja i o łączeniu się do walki z żydami, nauczyciel Maciaś o przyczynach upadku Polski i poseł Jedynak o obchodach narodowych. Przemówienia były przeplatane śpiewaniem narodowych pieśni i deklamacyami. Po skończeniu wiecu wyruszył pochód pod krzyż za wsią, skąd po odśpiewaniu kilku pieśni rozeszli się wszyscy w podniosłym nastroju.

Uczczenie Konstytucyi 3 Maja. Z Krosna donoszą, że uroczysty obchód rocznicy Konstytucyi 3 Maja trwał przez kilka dni. Dnia 2 maja wieczorem młodzież szkoły realnej i seminaryum nauczycielskiego męskiego urządziła pochód przy blasku pochodni i dźwiękach kilku orkiestr na cmentarz, gdzie na grobie poległych z roku 1863 przy łapnie oświetlonym transparencie, przedstawiającym »Zmartwychwstanie Polski«, odśpiewano pieśni patryotyczne. Dnia 3 maja rano odbyło się uroczyste nabożeństwo. W niedzielę dnia 5 maja rano odbył się uroczysty pochód na Rynek, gdzie Ks. dziekan Koleński wypowiedział podniosłe kazanie do kilkotysięcznego ludu. Przedstawiono też sztukę »Kościuszko pod Racławicami«, dnia 4 b. m. wieczorem dla inteligencyi i 5 b. m. po południu w niedzielę dla ludu wiejskiego i dziatwy miejscowych szkół.

(J. K.) **Święto konstytucyi.** Ubiegłej niedzieli odbyła się w Busku uroczystość 3-go Maja, która rozpoczęła się nabożeństwem w kościele, w którem wzięła udział młodzież szkolna ze swym sztandarem, Sokół i strażacy w karnych szeregach, również ze sztandarem. Publiczności była tak wielka liczba, że

wielu stało na dziedzińcu. W czasie mszy św. śpiewał chór dziatwy szkolnej, na końcu zaś wzniosła się ku niebu ze wszystkich piersi potężna pieśń żalu i prośby o zlitowanie nad znękanym narodem, pieśń »Boże Ojcze Twoje dzieci«. Patryotyczne kazanie wygłosił miejscowy ks. katecheta. Po nabożeństwie rozwinął się wspaniały pochód, który przy muzyce Sokolej zdążał ulicami pod gmach Sokoła, gdzie się rozwiązał. Wieczorem odbyła się wieczornica.

(J. K.) **Trzeci Maja na wsi.** Grono ludzi szlachetnych i chętnych do pracy, a należących do TSL. w Olesku, urządziło w Kulikach wieczorek ku uczczeniu rocznicy wiekopomnego dzieła ojców naszych. Kuliki, wieś w powiecie złoczowskim, odcięta od świata wielkimi lasami, zdawała się spać do niedawna twardym snem, niepomna na to, że i ona należy również do polskiej ojczyzny. Kilkadziesiąt chatek słomianych rozsiadło się na zielonej polanie, w środku której stoi piękny budynek szkolny, wystawiony ze składek dzieci, czytających pismo »Mały światek« dla nich właśnie poświęcone. I jak przed kilku laty mało kto o tej wsi wiedział, tak dzisiaj tętni ona życiem narodowem, dzięki pracy kilku patryotycznych osób. I w tej to właśnie zbudzonej wsi polskiej odbyła się uroczystość rocznicy Konstytucyi 3 Maja, która na wszystkich słuchaczach zrobiła wielkie i niezatarte wrażenie.

(J. K.) **Poranek Krasińskiego.** Dzień 14 maja był dla dziatwy szkolnej w Olesku dniem wielkiego święta narodowego. W dniu tym bowiem szkoła tutejsza święciła uroczyście pamięć wielkiego polskiego wieszcza i poety Z. Krasińskiego. Po odprawionem nabożeństwie zebrała się młodzież w ogromnej sali szkolnej, w której na podwyższeniu stał biust (pomnik po piersi tylko) Z. Krasińskiego. Tu usłyszała z ust kierownika, p. Dąbrowskiego i jednego z nauczycieli, piękne słowa o wielkim mężu. Następnie były deklamacye i piękna kantata (śpiew) na dwa głosy, której wyuczeniem zajął się p. Herman, nauczyciel tutejszy. Pieśń »Serdeczna Matko« z powtarzaniem:

> Twojej litości błagamy ze łzami,
> Królowo Polski przyczyń się za nami.

zakończyła ów uroczysty poranek. Młodzież w tym dniu była zwolniona od nauki.

(J. P.) **Burza w maju.** Po długich posuchach doczekaliśmy się wreszcie deszczu, który przyszedł z burzą i piorunami, przytem nie obeszło się bez nieszczęścia, bo u nas, w powiecie dąbrowskim, stał się wypadek. Jechał sobie gospodarz po cieśli, których miał zgodzonych do budowy domu. W drodze ze Świebodzina do Bolesławia spotkała ich ta okropna burza, uderzył piorun i zabił parę koni, a jadący trzej mężczyźni doznali chwilowego porażenia.

(W. S.) **Orkan w Grobli.** W dniu 13 maja, około godz. 4 rano, przeciągnął nad gminą Groble w powiecie bocheńskim straszny orkan, który trwał około 10 minut. Powywracał wielką ilość drzew z korzeniami. Dachy z domów pozrywał w kilku miejscach, zaś 4 stodoły rozwalił zupełnie, oraz poczynił wiele innych szkód.

Trąba powietrzna. Ze Szczurowej, w powiecie brzeskim, donoszą, że 13 maja szalała tam wielka burza, połączona z trąbą powietrzną. W Szczurowej i Rybowej burza pozrywała z wielu domostw dachy, kilkadziesiąt domów zburzyła, kilkanaście stodół rozniosła zupełnie. Szkody olbrzymie. Również i w innych wsiach straty znaczne. Wójtowi w Szczurowej burza zniosła stodołę nową, niedawno postawioną kosztem 2000 koron.

Zajście w kościele. Z Kałusza donoszą, że niebywały, gorszący wypadek zaszedł i to w kościele. Wywołał go maszynista jednej z kopalń borysławskich, Karol P. Mianowicie wśród sumy wygłosił kazanie tutejszy, powszechnie wysoko poważany kanonik ks. Józef Szeligiewicz. Wskazał na socyalistów, jako zasadniczych i nieprzejednanych wrogów Kościoła katolickiego, a obłudę i nieżyczliwość przewódców ich wobec ludu roboczego. Gdy następnie ks. Szeligiewicz schodził z kazalnicy, podszedł ku niemu P. i zaczął kapłanowi głośno wyrzucać, że ani takich spraw poruszać, ani wogóle tak mówić nie powinien w kościele. Wystąpienie to sprawiło w kościele i w mieście całem ogromne oburzenie na maszynistę.

Nasze strażactwo, pozostawione własnym siłom i nie mając odpowiednich funduszów, musi ono ciągle walczyć z niedostatkiem. Wiadomą to rzeczą, że na wsi naszej słabe jest zaledwie pojęcie o potrzebie chronienia się przed klęską pożaru, że nasza ludność nie umie czy nie może przestrzegać przepisów policyi ogniowej, a ponieważ przeważnie niema po wsiach zorganizowanej straży pożarnej a o ile nie posiada ona potrzebnych funduszów na sprawienie sikawki i innych przyborów ratunkowych, dlatego nic dziwnego, że straszny żywioł znajduje tak podatny dla siebie grunt i że całe wioski idą z dymem. Z uznaniem podnieść należy starania krajowego Związku Straży pożarnych, który nie szczędzi pracy ani trudów w zdobyciu funduszów, ale wszystkie jego usiłowania rozbić się muszą o brak ustawy, którąby nakładała na Towarzystwa ubezpieczeń obowiązek pobierania opłat na straż ogniową, jak to ma miejsce w innych krajach. Tę zbawienną myśl podjęła »Wisła«, ludowe Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń we Lwowie, która uprosiła w ubiegłej sesyi sejmowej posła Jedynaka o postawienie konkretnego wniosku, a dla poparcia go rozesłała do wszystkich urzędów gminnych w Galicyi okólnik i podanie do Wydziału krajowego celem zaopatrzenia go w podpisy, chcąc w ten sposób wywrzeć na Sejm moralny nacisk do uchwalenia odnośnej ustawy i postawienia przez to za jednym zamachem naszego strażactwa na pewnych nogach. Ten pożyteczny krok »Wisły« poprzeć też powinny wszystkie Rady gminne swojemi uchwałami.

Duch w kominie. Pewną bogatą wdowę w jednem z miast węgierskich coś »straszyło«. Głos dochodził z kuchni właśnie pustej, bo świeżo odprawiła służącą. Głos wołał, iż jest duchem jej ojca i żąda, by 2000 koron zakopała na przepadłe w oznaczonem miejscu w ogrodzie w chwili, gdy nikt tego nie ujrzy.



Wdowa zrazu przestraszyła się, ale wnet zrozumiała, iż to nie duch, lecz jakiś wyzyskiwacz. Gdy pieniędzy nie zakopała, pewnego wieczora, dla wyłapania ptaszka, sprosiła sąsiadów i gdy głos z komina zaczął się odzywać, weszli wszyscy do kuchni. Drzwiczki od komina otworzono. Na razie zapano-

wała w kominie cisza; ponieważ jednak na dachu kilku namówionych ludzi zatkało komin, »duch« musiał spuścić się na dół i jak niepyszny ukazać się w drzwiczkach komina w kuchni. Przekonano się, że sprytnym »duchem« był miejscowy kominiarz, który za swe »duchowe« praktyki poszedł do kozy.

(W. L.) **Uderzony dyszlem.** Gdy Jan Karnasewicz, uczeń 3 klasy, szedł dnia 7 maja, ze szkoły w gminie Gwoźnicy górnej, pow. Strzyżów, najechał na niego gospodarz Paweł Zegar, raniąc chłopaka dyszlem od wozu w głowę tak ciężko, że nos został całkiem zmiażdżony a skóra z czoła została zdarta. Chłopaka zaraz odstawiono do lekarza w Jasienicy, który mu udzielił pomocy lekarskiej.

(J. J.) **Uroczysty obchód rocznicy konstytucyi 3-go Maja.** W niedzielę, 12 maja, obchodzono w Czechowicach, w powiecie bialskim, rocznicę konstytucyi 3 Maja. Już wczesnym rankiem zbierała się ludność przed szkołą wydziałową w Czechowicach, skąd rozpoczął się pochód. O godzinie 9 rano wyruszył pochód do kościoła parafialnego. Pochodowi temu towarzyszyła straż pożarna z Czechowic i Dziedzic, oddział Sokołów i związek chrześcijańskich robotników z Dziedzic. O godz. 10 odbyła się suma z kazaniem, poczem odśpiewano »Boże coś Polskę«. Po skończonem nabożeństwie wyruszył pochód na plac gimnastyczny obok szkoły ludowej, gdzie profesor Madejski wygłosił mowę o konstytucyi 3 Maja, poczem odśpiewano »Jeszcze Polska« i »Bartoszu, Bartoszu«. Wieczorem odbyło się przedstawienie w szkole wydziałowej. Czysty dochód przeznaczono na dar narodowy i na »Macierz szkolną« w Cieszynie.

(M. B) **Śmierć w studni.** W niedzielę, dnia 12 maja, szła pewna kobieta, zamieszkała w Czechowicach, na Śląsku austr., po wodę do studni. Nagle wpadła na głowę do studni, z której wyciągnięto już tylko martwe zwłoki. — Odwieziono je do kostnicy w Czechowicach.

Przezwisko „Bismarck“ obrazą. Przed sądem obwodowym w Pradze odbyła się ciekawa rozprawa o obrazę honoru. — Pewien chłop z okolicy Pragi zaskarżył drugiego chłopa, który nieustannie przezywał go Bismarckiem, tak, że wkrótce cała wieś przyjęła to przezwisko i szydziła z niego. Chłop ze łzami w oczach zapewniał, że tak dłużej żyć nie może, bo nie chce być pośmiewiskiem. Oskarżony tłumaczył się, że Bismarck był wielkim człowiekiem i był założycielem państwa. Tłumaczenie to jednak nie zdało się na nic, bo sędzia zasądził go za obrazę honoru na 20 kor. grzywny. (Kanclerz niemiecki ks. Bismarck był, jak wiadomo, zawziętym wrogiem Polaków.)

Straszliwy orkan. Na Węgrzech, w komitacie Ugocsa, szalał dnia 17 maja orkan, który wyrządził ogromne spustoszenie w zasiewach i lasach i na linii przewrócił pociąg, złożony z lokomotywy i pięciu wagonów, przyczem 4 osoby odniosły ciężkie, a 12 lekkie rany.

Okropna burza szalała w poniedziałek d. 13 b. m. rano nad okolicą Szopienic na Śląsku pruskim. Wichura zrzuciła dach na cynkowni. Równocześnie w cynkowni wybuch pożar. Tak samo wicher zrzucił dach z drugiej cynkowni, jeszcze nie wykończonej. Żelazna konstrukcya zupełnie połamana i pogięta. Szkoda wynosi kilkaset tysięcy marek. Na miejsce zjechały straże pożarne z okolicy i z Królestwa polskiego. Podczas katastrofy zginęło dwóch ludzi. Jednego, niejakiego Kotulskiego już wydobyto i odwieziono do lecznicy. W Wilhelminie wicher pozrywał dachy z kilku domów. Dachy leżą na ulicy. Na ulicach pełno dachówek. Drzewa i słupy telegraficzne połamane. W kolonii pobliskiej zrzucił wicher dachy z pięciu kamienic i odrzucił na kilkadziesiąt metrów. Szkoda jest olbrzymia.

Dowcipny pastor. Walka z olbrzymiemi kapeluszami pań toczy się nietylko w teatrach, ale i w kościołach amerykańskich. Pewien pastor, nie mogąc dać sobie rady z niewiastami, które w strojnych kapeluszach zasiadały na ławach kościoła, zaczął swe kazanie w ten sposób: »Oczywiście nigdy nie odważyłbym się żądać od moich słuchaczek, aby do kościoła nie przywdziewały kapeluszy, odwracających uwagę wiernych od głównego celu pobytu w kościele, od nabożeństwa«. Panie zaczęły słuchać uważnie. »Niejedna bowiem głowa — ciągnął dalej kaznodzieja — szpetny przedstawia widok, gdyby była pozbawiona okrycia głowy«. Damy zaczęły nieznacznie odpinać i zdejmować kapelusze. »A jestem przekonany — ciągnął wciąż dowcipny pastor — że niejedna z dam, siedzących w tym oto kościele, wraz z kapeluszem zdjęłaby przyprawione włosy, bo nie ma swoich«. Zaledwie skończył, głośny szmer zrobił się w kościele, a po chwili ani jedna z pań nie miała kapelusza na głowie.

Śnieżyce w Rosyi. Tegoroczna wiosna kapryśna i niestała, znowu sprawiła niespodziankę, ale już nie u nas, lecz w Rosyi. — Panują mianowicie w południowej Rosyi, na Krymie i w południowo-wschodniej silne wiatry bardzo chłodne i śnieżyce tak wielkie, że w okolicy Kulikowa Pala wskutek wielkiego opadu śniegu stanął w polu pociąg osobowy i przestał tam 11 godzin, zanim wysłane lokomotywy i maszyny do zmiatania śniegu nie odprowadziły go z powrotem do stacyi, skąd wyruszył. Śnieg i zimno wyrządziły wielkie szkody w gospodarstwie wiejskiem: kukurudza n. p. zupełnie zniszczona, a ozimina znacznie uszkodzona.

Parę dni trwający pożar. Wieś Loye w kantonie Wallis w Szwajcaryi, paliła się w zeszłym tygodniu przez parę dni i mimo wszelkich usiłowań pożaru stłumić się nie udało, zwłaszcza że wiatr silny podniecał ogień a do ugaszenia ognia brak było wody. Gdy dwie trzecie wioski się spaliło, dopiero zdołano niezwykły pożar stłumić.

Przejazd monarchy afrykańskiego. Nietylko w Rosyi, gdzie władze drżą o życie cara, podczas jego podróży stosowane są najdalej posunięte środki ostrożności.



W Abisynii, północno-wschodniem państwie afrykańskiem, gdy monarcha tamtejszy podróżuje, również władze ogromnie przestrzegają, aby nie zdarzył się jaki zamach. Obrazek nasz przedstawia samochód, w którym jedzie Menelik, władca Abisynii, a przy drodze co kilkanaście kroków oficera w pełnej zbroi. Żołnierze zaś padają całymi oddziałami na piecy na znak czci.

Socyalista maszynistą pociągu cesarskiego. Prowadzenie pociągu dworskiego, którym jechał z Genui we Włoszech do Karlsruhe cesarz Wilhelm, powierzyły władze szwajcarskie w granicach Szwajcaryi inspektorowi kolejowemu Tamo. Inspektor Tamo jest znanym agitatorem socyalistycznym. Niemniej wywiązał się chlubnie z powierzonego sobie zadania.

Katastrofa kolejowa we Francyi. Dnia 18 maja wieczór, z powodu złego ustawienia zwrotnicy, zderzyły się dwa pociągi osobowe. Skutek był straszny. Zabitych jest 11 osób, w tem 3 wojskowych, zaś około 80 rannych. Trzy wagony i jedna lokomotywa zdruzgotane. Zderzenie było tak silne, że trzask słyszano z wielkiej odległości. Z gruzów pociągu odezwały się jęki i wołania o pomoc. Podróżni z trudem wydostawali się z wagonów. Ciemność zwiększała grozę katastrofy. Najpierw przybyła na miejsce katastrofy straż ogniowa, następnie przybył z Paryża pociąg ratunkowy z oddziałem ratunkowym. Wkrótce z pod gruzów pociągu wydobyto pierwsze zwłoki straszliwie poszarpane. Rannych, którzy przeważnie doznali połamania rąk i nóg, przewieziono do szpitala.

Król w łodzi podwodnej. Pomimo gęstej mgły rozpoczęły się właściwe ćwiczenia floty angielskiej. Król Jerzy angielski odbył 10-minutową podróż w łodzi podwodnej, która w tym czasie zrobiła 2 mile. Jest to pierwszy przypadek jazdy monarchy pod wodą. Łodzie podwodne rozpowszechniają się coraz więcej w państwach, położonych nad morzami, oddają bowiem, jako ukryte pod wodą, znamienite usługi podczas bitew morskich.

Ofiara „Titanica“. Wśród podróżnych, którzy ponieśli śmierć podczas zatonięcia tego olbrzymiego okrętu znajdował się i Polak, ks. Montwiłł. Zwłoki jego przywieziono już z Nowego Jorku do Europy i będą pogrzebane w Wilnie, gdzie ks. Motwiłł ostatnio stale przebywał i cieszył się, dla zalet serca i charakteru oraz cnót kapłańskich, wielką sympatyą i powszechnem uznaniem.

Małżeństwo jako kara. W kraju Syamie, w Azyi, małżeństwo należy do »środków karnych«, które nakłada się na ludzi, przekraczających ustawy. W oznaczonym czasie każda kobieta w Syamie, nie mająca męża, zostaje wpisana na własne życzenie na listę »dziewcząt królewskich«. Przez to król obejmuje opiekę nad nią, a przedewszystkiem stara się znaleźć jej męża. Kawalerowie, którzy popełnili jakąś zbrodnię, zostają skazywani, prócz sądowej kary, na ożenienie się z taką »dziewczyną królewską«. Jeżeli zaś przewinienie skazanego jest małe, to ma on prawo wyboru, jeżeli jednak ma się do czynienia z większą zbrodnią, to skazanemu daje się za żonę najstarszą, najbrzydszą i najzłośliwszą dziewczynę.

Ile ludzie jedzą chleba? Gazety paryskie podają cyfrowe zestawienia, ile chleba w różnych krajach ludzie spożywają. Według nich pierwsze miejsce zajmuje Dania, przypada tam rocznie na głowę 287 kilo chleba, w Belgii 274, we Francyi 234, w Szwajcaryi 212, w Niemczech 209, w Hiszpanii i Austryi po 195, w Rosyi 173, we Włoszech 125, rocznie na głowę. Ostatnie miejsce zajmuje Portugalia ze 102 kilogramami chleba na jednego człowieka.

Japońskie „harakiri“. Narodowy zwyczaj japoński odbierania sobie życia za pomocą tak zwanego „harakiri“, polegającego na rozcięciu brzucha, utrzymuje się w dalszym ciągu. Podczas wojny rosyjsko-japońskiej było, jak wiadomo, kilkaset samobójstw tego rodzaju w obozie japońskim. W większości wypadków samobójstwa były wywołane zamiarem ujścia przed karą lub hańbą u żołnierzy, którzy wykroczyli przeciw regulaminowi służby. — Obecnie 30 członków wielkiego stronnictwa politycznego w Japonii postawiło w parlamencie japońskim wniosek, aby „Harakiri“ stosowano przy wyrokach śmierci na oficerów i urzędników. Wniosek ten nie ma, co prawda, szans przejścia, świadczy jednak o nastroju w pewnej części społeczeństwa japońskiego, która dąży do utrzymania dawnych zwyczajów i obyczajów.

Okrucieństwa Japończyków. Dzienniki angielskie donoszą o nieludzkiem znęcaniu się władz japońskich w Korei nad Koreańczykami, aresztowanymi pod zarzutem knucia spisków przeciwko Japonii. — (Koreę, półwysep w Azyi wschodniej, jak wiadomo, zagarnęła Japonia po zwycięskiej wojnie z Rosyą). Ulubionym sposobem wydobywania zeznań z aresztowanych ma być wieszanie ich, silnie skrępowanych, za wielki palec u nogi, głową na dół i pozostawianie nieszczęśliwych w tej strasznej pozycyi, dopóki nie złożą żądanych zeznań. Bicie pałkami bambusowemi jest także na porządku dziennym. Misyonarz amerykański, Brown, zaręcza, że władze japońskie nieraz aresztują pod lada pozorem chrześcijan-Koreańczyków, a gdy następnie wypuszczają ich po przetrzymaniu w areszcie, nieszczęśliwi mają na ciele znaki oparzeń i uderzeń, jakkolwiek kara cielesna jest w Japonii zniesiona.

Miasteczko porwane przez fale morskie. Parowiec japoński „Marama“ przywiózł do Ameryki wieści z Australii, że na miasteczko Funa Point na australskiej wyspie Fidżi uderzyła ogromna fala przypływu, zabierając całą mieścinę złożoną z kilkudziesięciu domów wraz z ludźmi. Wielu niemal mieszkańców utonęło, a ci co żyją, nie mają co jeść.

Polowania w Ameryce. W lasach północnej Ameryki inaczej polują niż u nas. Nie są im obce sposoby nasze, stosują je nieraz, ale przeważnie zachowały się dawne formy polowania. Jedną z nich, najczęściej używaną, jest tak zwany cowboy. Polega on na tem, że jeden albo dwóch lub więcej nagania zwierzynę w kierunku, gdzie stoi dwóch jeźdźców z rozciągniętym długim sznurem, mającym wielką pętlicę w środku.



Zwierzyna, wypędzona hałasem z legowiska, rusza naprzód i wpada na nastawioną pułapkę. Jest to drugi rodzaj sznura, zwanego lasso. Pierwszy polega na tem, że długi sznur, zakończony kulką, zarzuca jeden jeździec na upatrzoną ofiarę i okręca nim zwierzę czy człowieka. Sposób ten znany był dawno, a szczególnie doświadczyliśmy go my, kiedy to Tatarzy napadali na nasze wsie i miasta i za pomocą sznurów wyłapywali ludność.

114-letnia kobieta żyje w stanie Ohio w Ameryce. Wyszła za mąż dwa razy. W pierwszem małżeństwie miała 22 dzieci, w następnem tylko 11, razem więc 33. Opierając się na tem, wysłała do kon-

gresu amerykańskiego w Waszyngtonie prośbę o przyznanie wyższego zasiłku na wychowanie dzieci; zamiast 12 prosi o 100 dolarów miesięcznie.

Uliczny grajek chiński. Obrazek nasz przedstawia ulicznego grajka chińskiego. Z pozoru jest to osobistość niepokaźna, trudno jednakże sobie wyobrazić, jakby Chiny wyglądały bez tych ulubionych grajków. Żadne wesele ani inna uroczystość familijna nie obejdzie się bez tego muzyka.



Przed rewolucyą odegrali oni bardzo ważną rolę: używano ich za agitatorów przeciw dynastyi cesarskiej. Niejeden z niepokaźnych grajków poniósł bohaterską śmierć z rąk cesarskich żołdaków.

Co widziały ślepe dzieci w ogrodzie dzikich zwierząt? Przed niedawnym czasem zaprowadzono przeszło sto ślepych dzieci do ogrodu zoologicznego (w którym znajdują się dzikie zwierzęta) w Nowym Jorku, gdzie po raz pierwszy w życiu miały sposobność »zobaczyć« różne zwierzęta, opisywane im dotychczas jedynie przez nauczycieli. Dzieci dotykały rękami różnych zwierząt, przyczem wypowiadały swe spostrzeżenia, z których najciekawsze przytaczamy: Pewien mały chłopiec, gładząc ręką szkockiego kuca, natrafiwszy na wypukłość u grzbietu, zawołał: „O, to wielbłąd! Tu ma garb!“ — „O, nie, odpowiedziała mu na to 14-letnia dziewczynka, to niedźwiedź, gdyż jego sierć jest długa“. Inne znów dziecko wzięło kucyka za dużego psa a jedno jedyne tylko dziecko twierdziło z całą stanowczością, że to koń. Jeszcze ciekawsze były spostrzeżenia ślepych dzieci przy dotykaniu innych zwierząt, wielbłąda np. wiele dzieci uważało za kaczkę. Najciekawszem było jednak, że biedne te ślepe dzieci miały ogromne zaufanie do swych nauczycieli i przekonane były, że w ich obecności nie wyrządzą im zwierzęta żadnej krzywdy. „Ach, cóż „to“ ma za wilgotny oddech!“ zawołała jedna z dziewczyn, gdy ją żyrafa (gatunek sarny) polizała po ręce. Podziw jej nie miał granic, gdy przystawiono grzbietu żyrafy drabinę i pozwolono dosiąść ją. — „Ach, to zwierzę nie mogłoby wejść do naszej szkoły. Ono musi mieć co najmniej 16 m. wysokości. Czy to stworzenie istotnie żyje na ziemi? Ja mam wrażenie, że ono musi być ptakiem“. Podobne zdania wygłaszały inne dzieci. Największy podziw wśród zwiedzających wzbudził jednak słoń. Dzieci dotykały jego olbrzymich nóg, trąby, właziły na grzbiet słonia, zasypując przytem nauczycieli najrozmaitszemi pytaniami. — „Prawda, że słoń ma doskonały węch, skoro ma tak długi nos?“ — pytało jedno. — „Czy to firanki? — wskazując na uszy słonia, zapytywało drugie. — „Słoń musi bardzo cierpieć, kiedy ma katar“ — zauważyło trzecie.

Po zwiedzeniu ogrodu zoologicznego polecono dzieciom wyrysować „widziane“ zwierzęta. Niektóre z tych rysunków były wprost zadziwiające swoją dokładnością.

Nowe pismo chińskie. Ponieważ w Chinach od przekształcenia państwa w rzeczpospolitą wszystko ma być nowe, więc w zapale reformatorskim chwycono się i alfabetu. Słusznie. Dotychczasowy alfabet chiński zawierał 80.000 znaków, tak, iż czytanie i pisanie było dostępne tylko dla uczonych. Chcąc je uprzystępnić szerokim masom i ułatwić wykształcenie początkowe, postanowiono utworzyć pismo nowe. Nowy chiński alfabet składa się z 42 liter — 24 samogłosek i 19 spółgłosek. Z samogłosek: 4 zostało wziętych z alfabetu greckiego, 4 z rosyjkiego, 5 z łacińskiego, jedna tylko jedyna wzięta z alfabetu chińskiego; 9 zaś pozostałych samogłosek, to połączenie lub przedłużenie kilku razem. Z 19 spółgłosek 14 jest łacińskich, 3 rosyjskie, 2 greckie. Temi 42 literami można wyrazić piśmiennie wszystkie słowa chińskiej mowy. Nowy alfabet liczy już wielu zwolenników, zwłaszcza w Chinach południowych.

Serdeczne podziękowanie. WP. Posłowi Ludwikowi Dobii za wyjednanie u Rzadu zapomogi dla gminy Hucisk, to jest dwa razy soli i raz otrab, składam w imieniu całej gminy staropolskie »Bóg zapłać«. Naczelnik gminy: *Jan Handerek.*

Odpowiedzi Redakcyi.

PP.: Jan Ruszała w Z.: Książeczek na scenę dostanie w każdej księgarni, ile tylko Pan zechce. — Wład. Koza w P.: Zadań konikowych nie umieszczamy, gdyż nie wszyscy nasi czytelnicy znają grę w szachy. — Jan Szybowicz w Ż.: Dziękujemy i prosimy o więcej podobnych. — F. Rogala w P.: Ależ to o innej miejscowości była mowa. — Jan Lech w K.: Pójdą powoli. — Kazimierz Rogucki: Wierszyki coraz lepsze. Gdy uporamy się z wcześniej nadesłanymi, będziemy i Pańskie drukowali. — Jędrzej Czarnik w Rz.: Nadesłane opowiadanie znane jest powszechnie. — Józef Kobylański w C.: Zgadł Pan! Chcemy tych rzeczy jak najbardziej unikać. — Wojciech Lubas w G.: Wiadomość z marca grubo spóźniona. Korczak w R.: Nadesłany utwór będzie w Kalendarzu. — J. Jarmuła w Z.: Otrzymalismy — dziękujemy. — Marya Prajerówna w L.: Wierszyki dobre — będą. — Czytelnia polska w Z.: Książeczka została natychmiast po wylosowaniu wysłana. Prosimy upomnieć się na poczcie. — Tomasz Dziewit w M.: Dlatego bo brak miejsca, ale może jeszcze będzie. — Jędrzej Czarnik w Ch.: Zagadek mamy bardzo wiele, więc idą powoli. — Walenty Pasierb w Cz: Owszem dobre i prosimy więcej takich.

Potwierdzenia prenumeraty.

Całoroczną prenumeratę nadesłali PP.:

PP.: Wojciech Kuzak z C. 2 dol. — Kazimierz Kuciel z R. 4 K. — Jan Pajak z P. 4 K. — Marya Babula R. 4 K:

Oprócz tego nadesłali PP.: Wojc. Pocica z K. 2 K. — Wojciech Tylec z B. 1 K. — Czesława Piotrowska z G. 2·66 K. — Józof Bocheński z K. 2 K. — J. Chmielowicz z C. 3 K. — Jan Habel z L. 1·60 K. — Wojciech Góściej z T. 2 K. — Daniel Roga z C. 3 franki — Józef Grania z Ż. 1 K. — Józef Standio z B. 3 K., Jan Sikora z I. 3 K.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 21 maja

Pszenica	Kor.	11 35	do	11·75	za 50 kg.
Żyto	„	10·—	„	10·70	„
Jęczmień	„	9.20	„	9·80	„
Owies	„	9·60	„	10 30	„
Otręby pszenne	„	8·35	„	8·40	„
Otręby żytnie	„	7 70	„	8·—	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 21 maja:

Buhaje	Kor.	154	do	166	za sztukę
Woły	„	300	„	400	„
Krowy	„	156	„	354	„
Jałówki	„	90	„	256	„
Cielęta	„	29	„	170	„
Owce i kozy	„	—	„	—	„
świnie bita waga)	„	150	„	164	za 50 kg.

Zagadki do nagrody.

1. ARYTMOGRYF.

(Ułożył Michał Cwynar).

12	21	15	5	20	1	Przyrząd astronomiczny.
1	15	1	15	1	19	Owoc południowy.
12	21	12	21	12	21	Sposób usypiania dzieci.
11	21	18	24	5	18	Tytuł czasopisma.
1	7	21	17	1	17	Wstecz nazwa ptaka.

Wyjaśnienie: Pierwszy rządek czytany z góry na dół da nazwę dzieła, a ostatni rządek czytany z dołu do góry — nazwisko jego autora (w drugim przypadku).

2. SZARADA.

(Ułożył Wojciech Witek).

Pierwsza z trzecią zgłoska, ludzki skarb kochany
Od Boga im jeden z życiem razem dany.
Druga da pytanie, odpowiedź znów czwarta.
Całość jest męcząca, a nie wiele warta.

3. LOGOGRYF.

(Ułożył Jan Lech).

S T A N I S Ł A W.

Ułożyć z tego słowa 16 innych słów (rzeczowników), w jaki bądź sposób przestawiając litery.

4. SZARADA.

(Ułożył Franciszek Zydroń).

Pierwsza parzy, wozi drugie,
Całość piękne, gdy jest długie,
A gdy przy tem jest i grube
To kobietom takie lube,
Że gdy z własnym już jest licho,
Cudzym radzą sobie cicho.

5. PRZEPLATANKA.

(Ułożył Jędrzej Czarnik).

Czy, kto, nie, wsze, rzą, ten, błą, ma, li, dzi, się, drze, je, ze, ta, dzi, za.

Z powyższych zgłosek ułożyć przysłowie.

6. ARYTMOGRYF,

(Ułożył Władysław Koza).

1
2 3 1
4 3 5 2 5
6 7 8 9 8 7 4
6 7 10 11 3 8 12 6 8
1 3 5 9 3 7 8 13 4 16 3
1 14 10 2 8 7 12 3 8
1 14 15 13 5 12 14
10 7 4 5 16
10 16 10
3

1. Spółgłoska. 2. Zwierzę. 3. Roślina. 4. Handlarz. 5. Służy do szczepienia. 6. Szukany wyraz. 7. Warsztat. 8. Uczeń. 9. Ptak. 10. Część ciała ludzkiego. 11. Samogłoska.

Litery środkowe czytane z góry na dół dadzą nazwisko malarza polskiego.

7. SZARADA.

(Ułożyła Zofia Pawłowska).

Tak pierwsza, jak czwarta, te same litery,
Zaś zgłosek ma wszystkich w sobie tylko cztery,
Więc obie środkowe zgadnij bracie jeszcze
A jęki całości dotkną cię złowieszcze.
To dla wyjaśnienia jeszcze ci nadmienię,
Że trzecia i czwarta służy na pieczenie
Zaś druga wspak z pierwszą również wspak [czytaną
Na wojnie każdemu będzie dobrze znaną,
Lecz nie bierz zbyt seryo tych jęków całości,
Gdyż one są często powodem radości.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 1 czerwca 1912 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z numeru 19 »Roli«: 1. Pomylony napis: **Towarzystwo ubezpieczeń w Archangielsku.** 2. Szarada: **Maciek Bzdura.** 3. Szarada: **Welonka.** 4. Łamigłówka: **Jest to cnota nad cnotami, trzymać język za zębami.** 5. Kwadrat: **Lelewel.** 6. Arytmogryf: **Staszic.**

Dobrego rozwiązania nikt nie nadesłał.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**
Drukarnia „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.